

- Autor: Janet Zygmont
- Tytuł: Dzień szósty
- Wydawnictwo: Iskry
- Seria: Ewa wzywa 07
- Zeszyt nr 132
- Rok wydania: 1985
- Nakład: 149000
- Recenzent: [Wiesław Kot](#)
- Recenzja: 38/2009



Śmierć w bebeczach metropolii

Zgładzony został handlarz kaszy z Targówka o twarzy reprezentatywnej dla tych okolic: „Były tam litry wypitej gorzały, cwaniackie zmarszczki, lubieżny grymas ust, strach śmierci i powolne, stopniowe konanie”. Dla czytelnika nie wygląda to obiecująco – ot, jakieś porachunki praskich szumowin. Toteż oficer milicji i narrator opowieści w jednej osobie zastrzega od razu: „Jeśli ktokolwiek mi udowodni, że jest coś bardziej banalnego niż zabójstwo bazarowego handlarza, jestem gotów wypisać się z milicji”. Paweł Rukat, czyli „Buldog” – bo taką ksywę ma w resorcie ten oficer śledczy - nie wystąpi jednak z szeregów obrońców prawa, bo już wsiąkł w te robotę. „Nie jesteśmy już właściwie wrażliwi na cudzy ból i cierpienie. Zresztą to przeszkadza w pracy” – mówi. To odważna deklaracja; po niej rozpoznajemy – nawet bez zerkania do metryczki książki – iż rzecz toczy się latach 80, kiedy cenzura pozwalała szkicować oficerów śledczych jako takich więcej równiachów. A równiachy prosperowały głównie dzięki szpiclom. „Są tam – czytamy – gdzie nie dotrze najlepszy wywiadowca, wiedzą to, czego inspektorzy muszą się dowiadywać tygodniami”. I tacy donosiciele zwrócili organom uwagę, że denat Zielonka Zdzisław miał dolary i precjoza zadekowane w żyrandolu. Inkryminowany jest zwłaszcza pewien sygnet z herbem „ostoja”, wokół którego zagęszcza się śledztwo. A jednocześnie grupa dochodzeniowa ustala, że Zielonka miał z lekka zabagnione życie rodzinne. Ale tego wszystkiego było mało, by pchnąć śledztwo do przodu. „Szef nie był z nas zadowolony. Ja też. Powiedzieliśmy to sobie wzajemnie. Pozostały nam tylko rutynowe działania, nadzieja w Bogu i liczenie na przypadek”. I ten przypadek popycha śledztwo w różne strony. Z jednej strony organa penetrują najbardziej zakazane praskie meliny, z drugiej kręgi artystycznej cyganerii z okolic ASP. A trafi się jeszcze antykwariusz z przedwojennym sznytem. Oficerowie szastają się po lokalach aby przeniknąć do półświatka, co pozwala im na bliższy kontakt w gastronomię we wszelkich odcieniach – z restauracją „Kongresowa” na szczycie listy. A zabójca i tak niczym diabeł z pudełka wyskakuje dopiero na ostatnich stronicach. Co stanowi starą dobrą tradycję powieści milicyjnej, wedle której, jeżeli zamordowano artystę malarza w centrum Warszawy, to zabójcą oczywiście okazywał się drwal z Suwalskiego. Wszystko po to, by władza ludowa mogła się wykazać omnipotencją.

Co w takiej patowej sytuacji czyni oficer-narrator. Oczywiście skupia się na kolorycie lokalnym. Dzięki czemu czytamy takie na przykład zdanka: „W całym mieszkaniu unosił się słodki zapach tanich perfum. Gdy wszedłem do pokoju, zrozumiałem, że to stłukła się buteleczka wody „Krasnaja Moskwa”. W połączeniu z zapachem kurzu i kocich odchodów było to nie do wytrzymania”.

Punktem dojścia tych opisów jest wykreowanie rodzimego czarnego kryminału. Terenem, na którym się rozgrywa, są warszawskie knajpy, które autor kreuje na przybytki mroczne choć wielce obiecujące. No, bo poczytajmy: „Nad ranem knajpy zatracają swój charakter, tworzony przez bawiących się w nocy ludzi. Snuje się w nich jeszcze dym z papierosów, zapach perfum, potu i przypalonych frytek. Jest w tym jakaś nostalgia, jakaś romantyka”. I dalej: „Warszawskie knajpy są jak kobiety. Gorzej lub lepiej utrzymane starają się przymamić (tak w oryginale – W.K.) swym wyglądem i strojem. Każda ma swoje grono wielbicieli. Najgorsze są te, które pozbawione jakiegokolwiek wyrazu służą przypadkowym klientom do krótkiego odpoczynku”. Podobnie wygląda reszta miasta, które w oczach milicjanta wygląda jak odwrotność kolorowej pocztówki. Bo znowu czytamy frazy jakby żywcem wzięte z Marlowa: „... szedłem ulicami miasta odsuwając od siebie pół prostytutkę Magdę, trupa jej ojca, narkomana Ciućka. Chciałem mieć to wszystko poza sobą. Nie można jednak w wielkim mieście uchylić się przed jego ohydą. Nawet gdy następuje przełamanie dnia z nocą”. Poczytajmy dalej: „Znowu ktoś umarł i nikt tego nie zauważył. Miasto jak zgonione zwierzę z trudem dyszało oddychając warem. I jednocześnie budziło się do codziennych podłości”. Nie mogę się oprzeć jeszcze jednemu cytacikowi: „... zauważyłem, że drzewa mogą mieć na sobie prócz kurzu, do którego widoku przywykłam, także i liście. To było przyjemne. Nieoczekiwane. Inne”. Jak całe sceneria bo sam mord płaski jak parkiet w „Kongresowej”.